POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 19 STYCZNIA 1929 ROKU NR. 3

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

MECHANIZM ŻYCIA

16)

I Czesława, pochyliwszy się, zaczęła całować Przecławską po rękach. Przecławska nie zwracała na to uwagi. Myślała, jak Czesławę unieszkodliwić. Doskonale zdawała sobie sprawę z furji i zaciekłości tej ogłupiałej istoty, i była pewna, że nie zaniedba ona niczego, aby skandal uczynić jak najgłośniejszym. Osobiście dla Przecławskiej obłęd męża był wypadkiem pomyślnym, ponieważ wracał jej pełne prawa żony, a o nic więcej, poza pozorami, nie dbała. Miała nadzieję, że Przecławski nawet po odzyskaniu zdrowia stałby się już tylko pewną fikcją. I wykreślała już zupełnie z rachunków rzeczywistości wszystkie przykre przejścia i upokorzenia, na jakie była narażona z powodu jego postępowania. W tych warunkach zjawienie się awanturnicy, obdarzonej dostateczną dozą bezczelności, aby wszędzie obnosić swoją historję narzeczeństwa z Przecławskim i w dodatku insynuować, że był podstępnie przez rodzinę zamknięty w domu warjatów, w co ostatecznie wielu ludzi uwierzyć mogło, było dla Przecławskiej o tyle niepożądane, że właśnie sama chciała odegrać rolę anioła opiekuńczego wobec tego męża, którego przez całe życie niecierpiała i w marzeniach pragnęła się pozbyć, pod tym jednak warunkiem, aby to się stało w przyzwoity sposób, to znaczy, nie urażający zbytnio światowych konwenansów.

— A czy ja nie mogłabym się dzisiaj z nim zobaczyć? — odezwała się nagle Czesława.

Przecławską zmęczyło już długie panowanie nad sobą i uczuła, że już ani chwili nie zniesie jej obecności.

— Niech pani sprobuje — odparła ze złością.

Jej pogląd na Czesławę uległ nagle zmianie. Przyszło jej na myśl, że może naiwnie sądziła, iż ma przed sobą głupią istotę, która uwierzyła w jakieś chorobliwe majaczenia Przecławskiego; równie dobrze mogła to być zwyczajna szantażystka. W takim razie sprawa przedstawiała się prościej, ponieważ można ją było załagodzić pieniędzmi. Przecławska zawahała się, czyby odrazu nie postawić kwestji jasno. Ale trwało to tylko sekundę. Powstrzymała ją obawa, że takich oszustek mogło się znaleźć więcej.

— Pożegnam panią. Jestem strasznie wyczerpana temi wszystkiemi przejściami — odezwała się, biorąc Czesławę pod rękę i wprost popychając ku drzwiom.

— A kiedy się zobaczymy?

— Proszę przyjść za tydzień.

Czesława odwróciła się gwałtownie.

— Za tydzień? Czy pani żartuje? O, ja jutro pójdę, i jak go na moje żądanie nie wypuszczą, to całą budę rozniosę. Albo wie pani co? — wykrzyknęła nagle, promieniejąc, — my go poprostu wykradniemy.

— Na miłość Boga, niech pani już nic nie robi. Proszę mnie pozostawić wszystko.

— Ale niech mi pani wierzy, że tak będzie najlepiej. Ja już w jakiś tam sposób dostanę się jutro do tego zakładu i zobaczę się z Zygmuntem. Uprzedzę go o naszym planie. Ja to muszę zrobić koniecznie, bo z panią możeby nie chciał mówić. Pani będzie musiała tylko wyłożyć pieniądze, bo to pewnie będzie bardzo drogo kosztowało.

Przecławska zacisnęła usta i przymknęła oczy.

— Trzebaby tylko znaleść jakichś mężczyzn, bo może go będą chcieli ścigać.

W duszy Czesławy odżywały nieświadomie wspomnienia lektury różnych sensacyjnych powieści.

W Przecławskiej to odezwanie się jej było decydujące. Zrozumiała, że się myliła, podejrzewając pannę Czesławę o szantaż. Takie majaczenia mogły się zrodzić tylko w chorobliwie rozegzaltowanej głowie i Przecławska doznała, jakby przedsmaku tego, czego się obawiała najbardziej, to jest skandalu. Gorączkowo szukała w myśli jakiegoś sposobu powstrzymania fatalnej narzeczonej od natychmiastowej akcji. Na razie nie zastanawiała się nawet nad tem, czy i jak uda jej się poskromić histeryczkę, pragnęła tylko zyskać na czasie. Choćby dzień albo dwa.

Znów więc zapanowała całym wysiłkiem woli nad nerwami i biorąc pannę Czesławę za rękę, odezwała się tajemniczym szeptem.

— Nie, nie, nie.

— Dlaczego?

— Niechżeż pani zrozumie. Jeżeli zamknęli go w szpitalu przeciwnicy polityczni, to mogą być w to wmieszane wpływowe i potężne osobistości. Trzeba działać bardzo uważnie i cicho. Gdyby się pani jutro zjawiła w lecznicy, odrazu zwróciłoby to uwagę. Mogliby się postarać, żeby i panią unieszkodliwić.

— Ja się nie boję.

Przecławska zdała sobie sprawę, że nacisnęła fałszywy klawisz. Z istotą w stanie podniecenia, w jakim znajdowała się panna Czesława, zastraszeniem nie można było nic wskórać. Poprawiła się więc odrazu.

— Wiem, że pani nic by nie zrobili. Ale po cóż utrudniać akcję.

— Jego tam męczą.

— Nie.

— Proszę pani, ja czytałam niedawno powieść o tem, jak się obchodzą z chorymi w domach warjatów. Mogę wziąć z czytelni z powrotem i przynieść pani.

— Trzeba, żeby się tem zajął ktoś poważny, mający rozległe stosunki i pewny.

— Ale kto?

— Ja się przez noc zastanowię. Niech pani jutro rano zatelefonuje do mnie.

— Pan Przecławski musi mieć oprócz pani jakąś rodzinę w Warszawie?

— Niema — odparła szybko Przecławska.

Panna Czesława spojrzała na nią podejrzliwie.

— Nikogo?

— W Warszawie nikogo.

Przecławska uczuła, że samemi obietnicami i ogólnikami nie tylko nie skłoni panny Czesławy do bierności, ale nawet nie pozbędzie jej się z mieszkania. I gdy gorączkowo poszukiwała w głowie jakiegoś wybiegu, któryby miał pozory rzeczywistego posunięcia, na którym można coś budować, przypomniał jej się nagle adwokat Witecki. Znała go tylko ze słyszenia, wiedziała jednak, że w dzieciństwie przyjaźnił się z jej mężem i kochał się w jego siostrze. Rozeszli się wprawdzie potem. Przecławski odzywał się o Witeckim zawsze z lekceważeniem i niechęcią, Przecławska sądziła jednak, że wobec katastrofy Witecki zapomni o nieporozumieniach — wiedziała, że poważniejszego zatargu między nimi nie było—i pomoże jej zatuszować skandal. Z innych stron zresztą słyszała o Witeckim jako o bardzo porządnym człowieku. Gdy po uzyskaniu separacji sama zaczęła się zajmować interesami i kilkakrotnie musiała szukać porady prawnej, radzono jej nawet, aby się zwróciła do Witeckiego. Przecławska miała zamiar to uczynić właśnie z racji nieporozumień między mężem a Witeckim. Przypuszczała, że dzięki temu będzie miała życzliwego w Witeckim obrońcę — ale odwiodła ją jedna z kuzynek, która przedstawiła jej Witeckiego, jako człowieka fantastycznego i egzaltowanego. Przecławska, sama niesłychanie zimna i trzeźwa, miała wstręt do tego rodzaju ludzi. Teraz jednak, gdy chodziło o zagranie na strunach uczuciowości, te wady Witeckiego wydały jej się zaletami.

— Niech się pani zgłosi do adwokata Kazimierza Witeckiego — wykrzyknęła nagle tryumfującym tonem. To jest kolega Przecławskiego z dziecinnych lat, znakomity adwokat, on nam napewno dopomoże.

— Dziś jeszcze pójdę.

— Niechżeż pani ma rozsądek w głowie. O tej porze żaden adwokat już pani nie przyjmie. Jutro razem pójdziemy. Chce pani.

— Dobrze.

— O piątej.

— Czy ja mam przyjść po panią?

— Nie, nie. U niego się spotkamy. Punktualnie o piątej.

Pozbywszy się nareszcie panny Czesławy, Przecławska zatelefonowała w tej chwili do Witeckiego. Wszystko się stało, jak przewidywała — Witecki, wobec nieszczęścia, przekreślił wszystkie niechęci i urazy do kolegi i zaofiarował się z pomocą, o ile mógł być na co potrzebny. Gdy usłyszał, że Przecławska pragnęłaby go natychmiast widzieć, zaraz przyjechał. Przecławska w porę zdążyła go uprzedzić. Dowiedziała się, że w tej właśnie chwili, gdy rozmawiali przez telefon, z Witeckim chciała się koniecznie widzieć jakaś młoda kobieta i zapowiedziała, że przyjdzie nazajutrz rano, przed dziewiątą. Domyślał się, że to była panna Czesława.

I domysł jego był trafny. Panna Czesława nie podejrzewała Przecławskiej o fałsz i wyszła trochę uspokojona nadzieją, że wreszcie coś się rozpocznie, aby kochanego przez nią człowieka uwolnić. Kiedy jednak znalazła się sama, nastrój opustoszałej już i ponurej przez to ulicy wytrącił ją odrazu z tej słabiutkiej równowagi duchowej, jaką pozornie dla siebie samej odzyskała. Po kilkudniowej odwilży północny wiatr sprowadził mróz i chodniki dawały wrażenie jakiejś zimnej szarej suchości. Panna Czesława wyobraziła sobie, że tak musiały wyglądać ściany celi, w której zamknięto Przecławskiego. Pierwszy raz w życiu stykała się myślami ze szpitalem warjatów i fantazja jej kreśliła obrazy ciemnych, lodowato zimnych lochów, w których majaczyły się ludzkie szkielety, skrępowane powrozami. Wybuchnęła w niej dzika rozpacz. Wsiadła w samochód i kazała się wieźć do Witeckiego. Nie zastanowiła się nad tem, czy to jest rozsądne, czy nie, gnało ją przedewszystkiem podświadome pragnienie, aby z kimś jeszcze pomówić o Przecławskim. To też, gdy jej adwokat nie przyjął, tak to odczuła, jakgdyby nowa katastrofa zwaliła się jej na głowę. Bała się wracać do domu. Zdawało jej się, że sama wśród czterech pustych ścian swego pokoiku zwarjuje z bólu. I mimo, że kostniała z zimna, kręciła się po ulicach, opętana w końcu manjacką myślą, że Przecławskiemu udało się uciec i że go spotka. Jakiś przechodzień, którego sylweta zarysowała się nagle w kręgu światła latarni elektrycznej o kilkadziesiąt kroków przed nią, tak był podobny z postaci i ruchów do Przecławskiego, że aż jej tchu zabrakło. Puściła się pędem i dopiero zrównawszy się z nim, mogła stwierdzić omyłkę. Nieznajomy wziął ją oczywiście za ulicznicę. Powiedział kilka słów tak brutalnych i ordynarnych, że doznała wrażenia, jakgdyby ją kto w twarz uderzył. Przerażona odskoczyła i skryła się we wnęce bramy. Scenę tę obserwował zbliska jakiś inny przechodzień, młody, dość elegancki mężczyzna. Zatrzymał się przed bramą i po chwili zbliżył do panny Czesławy, która nie śmiała się ruszyć.

— Czy pani niedobrze?

Przez kontrast z obrazy, jakiej doznała przed chwilą, jego uprzejmy, miękki ton, odrazu ją wzruszył.

— Nie, nie. Dziękuję panu. Nic mi nie jest.

— Pani mieszka w tym domu?

— Nie.

— A to czemuż pani wystaje w bramie na mrozie.

— Idę już — odparła, wysuwając się z bramy.

— Do domu?

— Do domu.

— A może nie do domu — roześmiał się młody człowiek. Ten śmiech nie pozostawiał już najmniejszych wątpliwości co do intencji troskliwego młodzieńca. Czując się narzeczoną Przecławskiego i w dodatku w chwili, gdy Przecławski cierpiał tak strasznie, panna Czesława nie mogła tej ulicznej zaczepki potraktować inaczej, jak obelgi, bardziej uprzejmej pod względem formy, ale nie mniej obrażającej, niż wymysły, które usłyszała przed trzema minutami. Taki też był jej pierwszy odruch, ale nim się zdążył uzewnętrznić, już go podcięło wahanie.

(D. c. n.).

Autoryzowany przekład M. Domańskiej.

3)

MACHNO I JEGO ŻYDÓWKA

— Nie odejdziesz, Stiopa? Ja ci zabraniam, ja cię proszę. Dostaniesz wódki, ile zechcesz i wina czerwonego, ale zostań. Potrzeba mi, abyś został.

— Nie, nie mogę, zabijasz mię twem gadaniem.

— Boisz się więc? co?

— Bać się?

— Z pewnością. Czujesz, że będę mówił o kopnięciu nogą i zmykasz. Ach! ty Stiopa śmiały, będę o tem mówił i to zaraz i nie powiesz, że to cię nie zajmuje, hę? Siadasz z powrotem? To dobrze, wracam ci honor, Stiopa. Związani jesteśmy obaj, a kopnięciem nogi bardziej, niż czemkolwiek innem.

Otóż będę o tem opowiadał, a pan dziennikarz jednocześnie się dowie, w jaki sposób poznałem bat'kę Machnę i stałem się jego sojusznikiem. Widzi pan, że gdy chcę, to umiem używać słów dystyngowanych.

Działo się więc to pod koniec roku 1918. Grupie anarchistów, do której należałem, nie udał się w Moskwie pewien mały zamach.

Czeka posiadała dobrych gończych. Poszukiwania coraz bardziej zacieśniały się w koło nas. Czułem to, chociaż nie wiedziałem.

Trzeba być spiskowcem za młodu, aby zrozumieć ten rodzaj przeczucia. Nic na pozór nie zmienia się koło nas. Ludzie są ci sami, rzeczy także. Ani śladu śledzenia, żadnego spojrzenia podejrzliwego. A jednak powietrze rozrzedza się.

Czuje się, czy słyszycie, czuje się, że mur, jeszcze miękki, dźwiga się gdzieś z ziemi i otacza was, a potem nagle rusza z miejsca, zamyka wolną przestrzeń. To decydująca chwila, w której trzeba szukać niewidzialnej szpary w tym murze nie istniejącym — uciekać przez wyłom.

Sekunda opóźnienia, jeden ruch źle obliczony i jesteś schwytany.

Lecz ja mądrzejszy jestem, niż cała policja świata. Można mię wziąć siłą. Nigdy chytrością. Pomyślcie, że mam lat przeszło czterdzieści, na ten przeciąg czasu dwadzieścia pięć lat teroru i anarchji i ani razu nie zakosztowałem więzienia. Hę? co powiecie na to? To się nazywa życiem awanturniczem i widzi pan, żem kpił z pana przed chwilą.

Tym razem także węch mię nie omylił. Z fałszywemi dokumentami udałem się do Kijowa, gdzie miałem przyjaciół.

Nie było to rzeczą łatwą.

Trzeba było przebywać terytorja czerwonych, to znowu białych, a przytem ostrzegano mię, że mogę wpaść na mołojców z bandy Machny, który już miał swoją legendę. Lecz nie miałem wyboru. Machno był człowiekiem, z którym mogłem się porozumieć. Z komunistami — nie.

Dostałem się do Symferopola, nie bez przygód, o których opowieść za dalekoby zaprowadziła. Stamtąd pojechałem pociągiem do Kijowa. Stłoczeni byliśmy straszliwie, w brudzie i pocie, kolana mieliśmy zesztywniałe, ciała jedne do drugich przyklejone. Pasażerowie odzywali się rzadko, ale mówili tylko o Machnie.

Z rozkoszą się im przyglądałem.

Nic mię bardziej zachwycić nie może nad widok strachu, wyrytego na tchórzliwych twarzach przez człowieka, będącego po za prawem.

Przypisywano Machnie wszystkie okrucieństwa, wszystkie zuchwalstwa. Widocznie wyobraźnie przekształcały fakta istotne. Twierdzono, że ataman miał do dyspozycji armję całą, to znowu, że sam zdobywał miasta. Co do napadów na pociągi, zuchy ci twierdzili, że bywały codzienne i bezlitosne.

Dzień jednak upłynął bardzo spokojnie: wieczorem, minęliśmy oddawna ostatnią znaczniejszą stację przed Kijowem. Moi towarzysze, dotąd tchórzliwi, stali się naraz weseli, chełpliwi.

Nie było już się czego obawiać, powiadali. Przybywaliśmy prawie do celu. W gruncie ten Machno nie był taki straszny, jak opowiadano.

Słuchałem wciąż z tym samym wstrętem. Czułem, że zbliża się jakieś niebezpieczeństwo, a wiedziałem, że moje przeczucia nie mylą mię nigdy. Powiedziałem to memu sąsiadowi, który powtórzył to innym. Wesołość ich zagasła nagle, jakby zdławiona. Poczem spojrzeli na mnie z nieufnością. Czy nie należałem czasem do bandy, skoro z taką pewnością zapowiadałem straszne wydarzenie? A twarz moja nie musiała ich uspakajać. Nie podobna była do ich twarzy, he! he!

Upewniłem się, że mój rewolwer wolny jest od bezpiecznika (gdyż wiedziałem, że nic niema bardziej brutalnego i impulsywnego nad stado tchórzów) i zaproponowałem im zorganizowanie obrony.

Ci kupcy uważali mię za warjata i jeden z nich odpowiedział, że lepiej siedzieć cicho, gdyż wówczas jeśli się co stanie, ujdziemy przynajmniej z życiem.

Zacząłem palić, nie zajmując się więcej tem bydłem cuchnącem.

Zbliżała się noc, ciszy pełna: słychać było tylko dudnienie pociągu, a czasem świszczące westchnienie podróżnego.

I stało się to, co się miało stać.

Raptem silne zahamowanie pociągu wstrząsnęło nami.

— Zaczyna się, — szepnąłem.

— Co? — wyjąkał z trwogą mój sąsiad z prawej strony.

Lecz czyż miałem czas odpowiadać! Ogarnęła mną mętna radość, złożona z niepokoju i z zadowolenia niemal zmysłowego, jakieś uczucie, przepełniające mi piersi i wnętrzności, tak silnie, żem niemal tracił przytomność.

W ciemności rozległ się pierwszy trzask karabinów.

Po całym pociągu przebiegło jedno imię:

— Machno! Machno!...

Poczem cisza głęboka, która trwała tylko chwilę. Pod oknami już rozbrzmiał głos brutalny:

— Niech wszyscy wychodzą z pakunkami. Jeśli kto nie wyjdzie, to kulą w łeb!

Wszyscy rzucili się ku wyjściu.

Mżył deszczyk. Całe szeregi podróżnych stały już pod nim. Chmury pędziły szybko po bladem niebie, odkrywając i zasłaniając znowu księżyc. Step z obu stron nasypu skupiał się w ciszy, niby olbrzymie zwierzę, tajemnicze i spokojne. Gdzieniegdzie stali jeźdźcy nieruchomi na swych małych konikach,

z karabinami wzniesionemi. Inni jeźdźcy galopowali wzdłuż nieruchomego pociągu i nie wiedzieć poco, strzelali do księżyca z dzikiemi okrzykami bez słów.

Ktoś szepnął:

— Ludzie Machny!

Z miejsca, gdzie był wagon bagażowy, dochodziły nas śmiechy i połajanki. Ładowano kufry i kosze na lekkie wozy.

Gdy skończono ładowanie, kazano nam iść prosto przed siebie.

Nie strzegła nas żadna straż, lecz od czasu do czasu przelatywał rodzaj wściekłego centaura, z karabinem, zwróconym ku horyzontowi. Po uciążliwym marszu doszliśmy do lasku.

Tam otoczyli nas ludzie, których nie było widać, ani twarzy, ani strojów; broń tylko połyskiwała słabo w ciemności.

— Dziś nie będzie egzekucji — powiedział jakiś głos. — Bat'ko przyjedzie sam jutro.

Poczem z zamiarem uspokojenia nas głos znów się odezwał:

— Rozstrzelani będą tylko oficerowie, komisarze, burżuje, spekulanci, adwokaci...

Dreszcz przebiegł wśród naszej grupy... Któż oszczędzony będzie w takim razie? Lecz głos zwierzchnika ciągnął dalej:

— Tymczasem pokażcie swe dokumenta!

W istocie sprawdzano nie dokumenty nasze, przy świetle latarni, ale portfele i biżuterję.

Noc upływała zwolna.

W lesie była taka przejmująca wilgoć, że narazie nikt nie pomyślał o tem, aby usiąść lub położyć się.

Lecz zwolna zmęczenie zwyciężało. Jedni opierali się o pnie, inni kładli się na zgniłych liściach.

Nikt nie śmiał przemówić. Od czasu do czasu zabrzmiała harmonijka lub wzniósł się śpiew przyciszony pod sklepieniem obnażonych gałęzi, z których spadała kroplami woda.

Żadnej straży.

Ludzie Machny dobrze wiedzieli, że wszystko w kraju do nich należało. Dokąd udać się zresztą w tę noc dżdżystą i ciemną? Bat'ko miał w każdej wiosce swych ludzi. Step był zaludniony jego patrolami, które zabijały bez miłosierdzia każdego obcego.

Kilku z nas zaryzykowało jednak. Nie byli to najodważniejsi, lecz najbardziej tchórzliwi. Uciekli, jak przerażone barany.

Nazajutrz znaleziono na drodze ich trupy. Jak i przez kogo zostali zamordowani? Nie dowiedziałem się nigdy. Gdy później spytałem o tych, którzy stali się mymi towarzyszami, uśmiechali się spokojnie i odpowiadali:

— To ziemia pracuje za nas.

W gruncie tyleż wiedzieli, co i ja, lecz słowa ich były prawdziwe: ziemia pracowała za nich.

I tu jeszcze, bardzo kochany i bardzo cywilizowany panie, trzeba powiedzieć waszemu rozsądeczkowi, by abdykował ze swych praw.

W zawieruchach ludowych, gdzie ludzie tego typu, co bat'ko, przechodzą jak miecz i ogień i, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, trzymają w szachu armje regularne, w tych zawieruchach istotnie jest jakiś związek pomiędzy człowiekiem a glebą, która go nosi, rodzaj sojuszu cielesnego, błotnistego, utworzonego z krwi i mułu.

Dopóki trwa, niema sposobu na bohatera czy bandytę, który zeń korzysta. Możliwe są wszelkie cuda, wszystkie zuchwalstwa, wszystkie ucieczki. Pan pewno lepiej odemnie zna historję. Proszę się zastanowić nad tem, co mówię. Wytłumaczy to panu powodzenie wielu zawieruch i buntów.

Co do mnie, który znam tylko dobrze historję Machny, mogę zagwarantować, że wystarczało go widzieć, aby zrozumieć, że jest zaślubiony moczarom Dniestru, głębokim borom lub czarnej glebie Ukrainy.

A potem, naraz, nie wiedzieć czemu, te dziwne miłostki skończyły się tak nagle, jak się zaczęły. I wówczas nastał koniec.

Niecierpliwisz się, Stiopa. Masz rację, mój chłopcze. Ale rozumiesz, trzeba jednak, aby pan zdał sobie nieco sprawę z tego, czem byliśmy tam. Trzeba, aby wiedział, do stu piorunów, że ty potrafisz co innego nad kłanianie się amerykanom w smokingach, którzy wysiadają przed nocnemi budami, i że ja nie jestem stworzony jedynie do tego, aby sprzedawać dzienniki i być mu wdzięcznym, gdy raczy mi dać dwadzieścia susów, zamiast czterech. Otóż, przyjacielu Stiopa, po tej nocy zaprowadzono nas do wioseczki Klijowka. Pamiętasz tę wioseczkę? Tameśmy się poznali. Nie wyglądaliśmy zachwycająco, prawda? Zmoknięci, zabłoceni i drżący bardziej jeszcze ze strachu, niż z zimna. Gdy mówię o strachu, to wyłączam siebie.

— Tyś się bał dziesięć razy więcej, niż wszyscy — mruknął kozak.

Opowiadający rzucił mu spojrzenie pełne nienawiści i odpowiedział cicho:

— Nie udawaj zucha i pozwól mi opowiadać dalej, albo przez Boga żywego, butelkę tę strzaskam na twej płaskiej twarzy.

Słowa histeryczne drżały mu w gardle. Wątłe jego ręce ściskały szyjkę butelki. Kozak spuścił głowę.

— Zrobiłby tak, jak powiada — wyszeptał.

I przyjaciel mój ujrzał ze zdziwieniem dziwną pokorę na twarzy kolosa.

Roznosiciel spoglądał na niego z tryumfem, uspakajał przez chwilę świszczący swój oddech i ciągnął dalej:

— Deszcz ustał. Wioska ze swemi wesołemi domkami, ze swą cerkiewką, rzeczułką, wszystko to zdawało się uśmiechać! My tylko, strachem i zmęczeniem przybici, tworzyliśmy plamę na tym obrazie. Cała ludność wyległa, aby nas zobaczyć. Włościanie nie różnili się od innych włościan: uderzał brak młodych. Ale ludzie Machny, to było co innego.

W każdej innej okoliczności byłbym się uśmiechał z tej maskarady. Proszę sobie wyobrazić balet zaporożański: Taras Bulba i S-ka. Musiał to pan widzieć w kinie: spodnie fałdziste, trykoty różnokolorowe, pasy jaskrawe, których kutasy spadały aż do ziemi.

Mniej zabawnemi były mordy, tworzące ukoronowanie tego kostjumu: widniała na nich gotowość do zabójstwa i rzeźbiło się okrucieństwo. I wszystko to uzbrojone było aż po same zęby.

Nigdy w życiu nie widziałem tylu sztyletów, rewolwerów, karabinów, nabojów i granatów, przyczepionych do ciała ludzkiego. Niektórzy, dla większej elegancji, mieli piersi opasane bandami nabojów. A nawet przed domami stały mitraljezy ze swemi małemi paszczami, zwróconemi ku przybyłym.

Czekaliśmy długo na placyku przed kościołem.

Mołojcy Machny obsypali nas drwinami, poczem wzięli kamienie.

(D. c. n.).